

A wiosną niechaj dobry spektakl zobaczę

26 lutego 2023



O spektaklu „Przedwiośnie” na podstawie powieści Stefana Żeromskiego w reż. Pawła Łysaka w Teatr Powszechny w Warszawie pisze Tomasz Flasiński.

Mając 36 lat powinienem się obiema rękami podpisywać pod hasłem, by starsi w imię lepszego jutra ustąpili w końcu miejsca młodym, a przecież nie podpisuję. Bo to bujda z chrzanem. Nie jest tak, że z młodymi u steru będzie z automatu mądrzej, lepiej, bardziej dynamicznie, empatycznie i postępowo – choć od kilkuset lat każde bodaj pokolenie wznosi taki slogan z zapalem, jakby właśnie wynalazło koło. Bardziej dynamicznie, może i tak, ale reszta tych spraw zdecydowanie nie zależy od wieku. Często bywa nawet przeciwnie – w miarę upływu lat człowiek nabiera doświadczenia i dystansu do młodzieńczych weltszmerców, cudowne pomysły naprawiaczy świata weryfikują się w jego głowie same, a jednocześnie wpadają tam może mniej kompleksowe, lecz bardziej realne remedia. Ale najważniejszy jest po prostu umysł i charakter. Ci, którzy widzą źródła problemów w dominacji starszej generacji, nie wyciągnęli wniosków ani z historii, ani ze świata otaczającego, ani nawet z filmu „Cabaret”, gdzie queerowy światek Berlina to plus minus równieśnicy chłopaków śpiewających w końcówce „Tomorrow belongs to me”. W USA ikonami zarówno obozów „reakcyjnego populizmu”, jak i „progresywnej zmiany”, są ludzie, którym ósmy krzyżyk już leci – odpowiednio Donald Trump i Bernie Sanders z (przy pewnych zastrzeżeniach) Joem Bidenem. W Arabii Saudyjskiej po kilku dekadach rządów dziadków realną władzę wyrwał im mój dynamiczny rówieśnik Mohammed bin Salman i natychmiast posłał żołnierzy na wojnę w Jemieniu, bodaj jeszcze bardziej niszczącą niż ukraińska. W Etiopii najmłodszy premier kontynentu – budzący z tej racji zazdrość innych krajów afrykańskich, w których średnia wieku czasami wynosi poniżej 18 lat – Abiy Ahmed nie czekał i trzech lat, by rozpętać krwawy bratobójczy konflikt. Mogłbym tak bardzo długo, ale przecież nie chodzi o to, by wypisać sto przykładów na tezę, którą daje się udowodnić kilkoma.

Chodzi bowiem o recenzję „Przedwiośnia” Pawła Łysaka w Teatrze Powszechnym, przedstawienia, które mogłoby się reklamować (niewiele młodszym od Żeromskiego) sloganem „Na bok starzy, młodzi idą!”. W wywiadzie przedpremierowym dyrektor sceny przy Zamoyskiego stwierdza: „My raczej chcemy zadawać pytania o to, czego potrzeba teraz Polsce. Żeby zbudować w końcu te szklane domy. Wciąż żyjemy w społeczeństwie rządzonej przez starych dziadków. Mówi to osoba prawie 60-letnia i dyrektor teatru, który też jest w pewnym sensie starym dziadem rządzącym instytucją, ale wydaje mi się, że musimy się wyrwać z rąk osób ze starego rozdania i oddać głos młodym ludziom z ruchów aktywistycznych i grup mniejszościowych, którzy myślą inaczej i wcale nie uważają, że mężczyzna jest zwieńczeniem stworzenia i musi czynić sobie ziemię poddaną. Być może wyrwanie się z tego schematu, w którym tkwimy od setek lat, jest właśnie wiosną, która się wydarzy”. I przecieram oczy: wy tak na serio?

Niestety, chyba na serio, tak jak Jasiński na serio głosił kiedyś, że wraz z jego nadejściem bezpowrotnie umarli i Tetmajer, i Staff. Z perspektywy stulecia widzimy, ile warte były te deklaracje. Tyle że autor „Buta w butonierce” miał jednak na swoją obronę własny, niebagatelny artyzm. Łysak mimo ogniowego wsparcia ze strony dramaturga Pawła Sztarbowskiego oraz młodych aktywistów (Zuzanny Karcz i Sebastiana Słowińskiego, odpowiedzialnego też za „współpracę dramaturgiczną”) nie wykrzesał go z siebie prawie wcale.

Kto zna świetny zbiór Joanny Mokosy-Rykalskiej „Matka siedzi z tyłu”, tego mogę odesłać do opowiadania „(Nie)wysoka kultura” w ramach wyjaśnienia, jak się czułem na premierze w Powszechnym. Kto nie czytał, cóż... Powiedzmy tak: było to jedno z najbardziej surrealnych doznań, jakie w dość już długich kontaktach z teatrem mi się przydarzyły.

Łysak lojalnie ostrzegł co prawda, że przedstawienie jest „na motywach powieści Stefana Żeromskiego”, ale zważywszy, że teatr niektóre spektakle zaplanował o 11:00 z ewidentnym zamiarem sciążenia na nie szkół, mam wrażenie, że ostrzeżenie nie było dostatecznie dosadne. Z samego dzieła Żeromskiego został okaleczony korpus, a z korpusu bryk, w którym tekst jest albo odklepywany, albo podawany w nietypowy, wydziwiony sposób – np. osobliwie wysokim głosem lub przez cały zespół na zmianę – co następuje na ogół w miejscach, w których zdaniem realizatorów widownia powinna się śmiać. Szczególnie chętnie obśmiewają kpiarską celebrazję młodopolskie frazy, które w ogóle nie miały bawić, ale wyrwane z kontekstu i językowej konwencji brzmią w uszach współczesnego słuchacza bardzo dziwnie, typu „W zacisznym gabinecie, wysłanym puszystym dywanem, tak puszystym, że w nim stopa ginęła, ojciec i syn spędzali jak najczęściej rozkoszne sam na sam. Chłopiec pierwszoklasista, leżąc na piersiach ojca, z głową przy jego głowie, i ojciec, kołyszący się na bujającym fotelu, wcałowywali sobie z ust w usta tabliczkę mnożenia”. Tania rozrywka, szczerze mówiąc, ale pół widowni było ze śmiechu, więc może po prostu to nie ja jestem docelową publicznością takich gagów. Jest też pełno wtretów z innych dzieł (w Nawłoci Hipolita nieoczekiwanie odśpiewuje kilkanaście wersów „Pana Tadeusza” o przyrządzaniu kawy, pewnie po to, żeby pokazać, jak bardzo kultura dworku zanurzona jest w przeszłości), własnych tekstów realizatorów (urzekło mnie wejście Laury, przedstawiającej się jako „typowa polska arystokratka widziana oczami typowego polskiego mężczyzny z początków XX wieku”) i komentarzy duetu Słowiński-Karcz, grającego w tym wszystkim nieledwie rolę wodzirejów.

Niestety, o ile dobry wodzirej ma przynajmniej na podorędziu parę porządných dowcipów, o tyle nasi aktywiści nie bają do powiedzenia literalnie nic ciekawego – prawdy (?) o życiu, jakim rządy zwłaszcza Słowiński, to albo banały, albo brednie. Choć, przepraszam, raz jakiś konkretny był: pod sam koniec przedstawienia Słowiński wymieniał kilka zastosoowań kamieni, a wśród nich „rzucanie w okna ministerstwa”, by krótko potem przejść płynnie do protestów Turków w parku Gezi czy Iranek dzisiaj. W tym sensie mało co tak mnie ucieszyło, jak deklaracja Karcz nieco wcześniej „mówią nam, że mamy robić rewolucję, a my nawet nie wiemy, co znaczy to słowo”. Bogu dzięki! Gdyby się dowiedzieli, a zwłaszcza gdyby wysłał im ta rewolucja tak jak spektakl, mogłoby być nieciekawie.

Koncentruję się tu na osobach aktywistów, bo aktorom (a niektórzy – i niektóre – mieli całkiem ciekawy potencjał) nie dano tu wiele pograć, a reżyser był, jak to się mówi, w bufecie. Kto zna choć parę spektakli Pawła Łysaka, ten się nie zdziwi, że scenografii praktycznie brak, a aktorzy nosząc współczesne kostiumy dają delikatnie (?) do zrozumienia, że tak naprawdę sensy fabuły są współczesne. Można i w takim anturazhu dokazać rzeczy wielkich, ale nie dokazano. Prowadzenie aktorów praktycznie nie istniało, zaś głównym elementem reżyserskiego konceptu stały się projekcje – niekiedy ciekawe (konna przejażdżka Cezarego i Hipolita), niekiedy bijące rekordy teatralnej grafomanii („Nie zapomnij krzywdy mojej, woźnico młody!”), w jednym tylko miejscu naprawdę znakomite (o czym jeszcze wspomnę).

Szczęśliwie Łysak oszczędził nam swego ulubionego reżyserskiego chwytu Heimlicha – wciągania widowni w interakcje bez pytania, czy ma na to ochotę (do dziś pamiętam, jak w Komunie Warszawa kazał uchodźcom modny nogi widzów z pierwszego rzędu, co miało ponoć nakłaniać do otwartości na Innego). Za to niestety podpadał u młodych kolegów i koleżanek po fachu idea, że koniec fabuły należy absolutnie z tej fabuły wyciąć, a w zamian dać luźno związaną z resztą spektaklu demonstrację wkurwu na świat. Czegoż w tych ostatnich dwudziestu minutach nie ma! Aktorzy wkładający Baryce w dłonie kolejne kartki z hasłami, od „Nie mamy idei” przez „Mianownik: Kto? Co? Polska” i „Żeromski na pewno nie była kobietą”, aż po „Kot może zostać”. Aleksandra Bożek przypominająca nam, że w 1918 r. Polki uzyskały prawa wyborcze i dziś to wręcz niewyobrażalne, iż wcześniej połowa narodu nie mogła o sobie w kategoriach politycznych decydować (jako historyk przypominę nieśmiało: przez poprzednie kilkadziesiąt lat druga połowa też nie za bardzo). Lechoniowy „Herosrates” („a wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”) wyśpiewany – świetny zresztą – przez Magdalenę Celmer w charakterze protest songu. Dwukrotnie wyświetlenie listy międzywojennych działaczy, co miało chyba być prztyczkiem dla Żeromskiego za jego mizoginię (akurat w tej powieści nie tak znów wielką); to, że sporą część tej listy tworzą żony polityków, już realizatorom umknęło. Umknęło im zresztą wiele innych rzeczy: słynną scenę z Baryką lamentującym nad ciałem Ormianki opatrzoną słoniowym podpisem „RZEŻ ORMIAN”. Nie tylko Żeromski, ale nawet strona bryk.pl ma lepsze pojęcie, jak się te sprawy w istocie miały na Kaukazie czasów wojny i rewolucji. W powieści, owszem, jest zabita ormiańska dziewczyna, czytamy też jednak, jak „Ormianie spalili meczety wraz z tatarskimi kobietami i dziećmi, które się tam schroniły i od marca do września byli panami życia i śmierci, a raczej dyspozytorami samej śmierci Tatarów (...) Tatarzy i Ormianie nie próżnowali w tym czasie, zagryzając się wzajem na śmierć i mordując, gdzie się tylko zdarzyło”.

Wspomnieć muszę o jeszcze jednym tego typu zgrzycie. Koleżankę, z którą wybrałem się na premierę, szczerze rozjuszył fakt, że aktorzy wyszli do ostatniego ukłonu z flagami Ukrainy – zobaczyła w tym niesmaczny szantaż moralny mający skłonić do owacji na stojąco tych widzów, którzy wstania odmówili. Może miała rację, a może po prostu zespołowi zabrakło wycucia. Bo faktycznie dało się w inny sposób okazać zrozumienie i wsparcie dla walczącego sąsiada. Na przykład nie przedstawiając starcia Polski z bolszewikami – będącego przecież podobnie jak obecne próbą odparcia okrutnego najeźdźcy – jako godnej pogardy wojny ołowianych żołnierzyków, w której chodzi tylko o to, by państwo mogło kontrolować ciała swych obywateli.

Przywalanie „Przedwiośnia” nawałą treści związanych z nim luźno albo wcale sprawiło, że bardzo niewiele zostało z oryginalnej fabuły. Część „bakijaska” jest dość związła streszczona, kończąc się roztańczoną przez Seweryna Barykę wizją szklanych domów. Część „nawłocka” w zamysłu miała chyba głównie pokazywać dekadencję i patriarchalizm dworku: karykaturując sceny uczt czy konnej jazdy reżyser postawił krzyżyk na większości fabuły jako takiej. Szczególnie straciła na tym Laura, która uwodziła i zostawia Barykę w pół minuty, nie wiadomo właściwie dlaczego. Chociaż niby wiadomo, bo zaraz potem i ona, i Wandzia, i Karolina oznajmiają, iż zostawiają Cezarego, gdyż ten myśli tylko o sobie. To, że Karolina już nie żyje, a dwie pozostałe panie rozstają się z Czarusem niedokładnie z własnej woli, w logice spektaklu nikogo nie obchodzi: ważne, by zwalczać patriarchalizm razem z przywoływaną w programie bell hooks.

Ostatnia scena mająca pierwowzór w samej powieści to konfrontacja Cezarego z Anastazym nad grobem zmarłej Karoliny. Pod nóż poszła cała część trzecia książki, w tym i wielka konfrontacja Baryki z w ogóle tu nieobecnym Gajowcem. (Co dziwne, Gajowiec pojawia się w wykazie postaci w programie, a do tego jeszcze Lulek. Czyżby ktoś w ostatniej chwili ich wyciął?) Przynajmniej nie spodziewałem się tego, ale po namyśle krok jest logiczny: tamci dwaj spierali się o Polskę, dzisiejsi aktywiści nie kryją, gdzie Polskę mają. Tyle, że kluczowego pono zamysłu przedstawienia – ciągłości między rozczarowaniem Baryki Polską a rozczarowaniem współczesnej młodzieży – w ogóle nie udało się na scenie pokazać. Bo i jak, skoro Cezaremu ani nikomu innemu z bohaterów oryginału nie pozwolono zbyt wiele o Polsce powiedzieć?

Aby przeczytać program spektaklu, musimy go poszukać na stronie teatru lub zeskanować kod QR z ulotki – czyżby teatr, który nie wyklucza, założył, że każdy przychodzi tam ze smartfonem? W programie tym znajdziemy szereg esejów związanych z „Przedwiośniem”, analizujących tę powieść w sposób kontrowersyjnie radykalny (naprawdę Hipolita, Anastazy i reszta mieszkańców Nawłoci to „ludzie tępi, niewykształceni, pełni uprzedzeń i gotowi na przemoc”, a uwagi Żeromskiego o Żydach, których życie Cezary chce ulepszać w ramach modernizacji Polski, trącą „ostatecznym, bożwiązaniem?”), ale niekiedy ciekawszych niż samo przedstawienie. Osobnie ich mijałyby w tym jednak z celem, rozważyć albo nie przedkładać się wcale, albo w praktycznym. Smówię, że poniępiał się tym jedynie wtajemniczeni. Warto jednak odnieść się do wypowiedzi Marka Beylina, który – wyraźnie jako głos swojego, starszego już pokolenia – kaja się: błędziliśmy, przypisując Żeromskiego utożsamianie się z Gajowcem zamiast z Baryką, i ten błąd zaważył na tym, jak zbudowaliśmy III RP. „Za mało było w Polsce Baryków, reprezentantów demokratycznego gniewu, zbyt wielu zaś Gajowców, strażników status quo wadliwej demokracji” – grzmi publicysta. A przecież słynny prozaik tak jak Baryka protestował przeciw niesprawiedliwości, był przerażony tym, jak w życiu codziennym funkcjonuje Niepodległa, podobnie jak współcześni działacze chciał walczyć z tym, co złe...

Ma rację Beylin, że Żeromski nie napisał powieści o mądrym Gajowcu i niedojrzałym, zapalczywym Baryce. Ale (wbrew temu, co sądzi autor eseju i sam Łysak) nie napisał również powieści o tym, jak skostniałe matuzale blokują młodym szansę na lepsze jutro. Pisząc swoją ostatnią powieść patrzył z gorzkim dystansem, ważył racje (także racje starego polityka i pełnego niezgody na kształt świata młodziaka), wiedział, że Lenin owszem miał odwagę, ale niszcząca stare poszedł drogą zbrodni, a stworzone przezeń nowe było może nawet gorsze.

Ale o jakim dystansie może być w tym spektaklu mowa? Kto miałby go wykazać? Szczerze powiedziawszy, nie mam w ogóle poczucia, że aktywiści w typie Słowińskiego i Karcz są jakimś głosem młodego pokolenia, owych słynnych „zetek”. Jak każde pokolenie, jest ono zbity różnorodna prasą okrzyknęta zdominowana przez głosy maskiowskich kolegów i koleżanek ze szkolei, gdy opiniodawczo prasa okrzyknęta zdominowana przez głosy Dorotę Masłowską. Problem jednak jest głębszy, bo błędny był sam koncept reżysera. Żeromski wprowadził na karty powieści kilku rówieśników Baryki – od ziemianina Hipolita po komunistę Lulka – pokazując w ten sposób, że w obrębie tej generacji funkcjonują rozmaite światopoglądy i diagnozy. Łysak wolał uprościć sobie zadanie: zaprosił do Powszechnego działaczy, z którymi się politycznie zgadza, i oznajmił mediom, że oto przemawiają młodzi. Ta sytuacja coś mi przypomina: biznesmena, który twierdzi, że nastoletnie dziewczyny to dziś pustogłowe lalunie lecące na prezenty, a wie to na pewno, gdyż z dwoma sypia.

Kilka słów o nielicznych zaletach tej premiery. Karolina Magdaleny Celmer przerobiona na współczesną dziewczynę balansującą między pragnieniem akceptacji, tęsknotą do spokoju lat dziecińczych, wypracowanym odruchem „zwis mi to” i rodzącą się miłością, to świetna rola – jedyna w tym spektaklu dopracowana psychologicznie. Poza tym cieszy ucho sposób, w jaki artystka śpiewa Lechonia. Dobrze mi znany z innych wartościowych kreacji Michał Czachor wkłada w swego Barykę więcej serca, niż przewidywał scenariusz Sztarbowskiego i Słowińskiego, po raz kolejny potwierdzając, że niektóre przedstawienia nie dorastają do swoich aktorów.

I jeszcze fragment, w którym główny bohater rozmawia ze zmarłą matką, uczy się ją ponieważ rozumieć, akceptować, przyjmować jej punkt widzenia. Oboje leżą na szelęgno; filmowcy nie zrealizowali kamery, rzucając na tło projektory, spychają ją widzenie w kwietnym dywanu. Jest w tej scenie piękno i symbolizm; tak, podobnie jak wykorzystanych wyczuwają nie widziałem w polskim teatrze chyba od czasu „Dybuka” Warlikowskiego. Niestety, o ile tam podobny poziom udało się utrzymać przez cały pierwszy akt, tu jest to raczej wypadek przy pracy. Ale niechby każdy spektakl miał choć jedną taką scenę, która będzie chodzić za człowiekiem i nie dawać spokoju.

Niemniej końcowej oceny to nie zmienia. Koleżanka, z którą byłem – stateczna intelektualistka w wieku prawie-żemerytalnym – po wyjściu z sali pognała po przygotowane dla premierowych gości wino szepcząc „z pewnością zasłużyłam”. Działwa szkolna, którą na spektakl opisany jako „Przedwiośnie” planuje zwabić Łysak, raczej nie będzie miał tego komfortu.

foto. Magda Hueckel